Janina Łagoda

Rządzącym trudno powiązać dziś z jutrem. W przekorze zalega przeszłość doraźnie modyfikowana na użytek bieżącej polityki, a naturą dziejowych zdarzeń jest niezależność od żonglowania nimi wedle kalkulacyjnych sondażowych diagramów. Fakty potrafią się otrząsnąć z niewygodnych usytuowań, chociaż chwilowe społeczne skutki takich praktyk niekiedy bywają rozległe.

Dziś

Wyborcza parlamentarna wygrana to satysfakcja, ale i problem z zagospodarowaniem kapitału, tym razem wzmocnionego sponsoringiem prezydenta RP, który nie skrywa wdzięczności za partyjną nominację, popadając w niewolę jednej opcji. Przykładów wiele.
Rok wystarczył, aby triumfatorzy sprawnie uporali się w znaczącym wymiarze z wymianą kadr w agendach będących ich łupem. Dla pełni szczęścia pozostał jeszcze spory obszar samorządowych kompetencji ulokowanych w ośrodkach decyzyjnych poza zwycięską partią, tj. Prawem i Sprawiedliwością (PiS). Trudny jest też skok w konstytucyjnie zdefiniowaną władzę sądowniczą. Zastosowano więc strategię oblężniczą z wariantem wprowadzania w tamte rewiry zaufanych osób, czyniąc je powolnymi obecnej władzy. Klasykę stanowi Trybunał Konstytucyjny (TK). Okazuje się, że dla jego paraliżu wystarcza wybiórcze traktowanie przez premier rządu obowiązku publikowania wyroków Trybunału. Sytuacja kuriozalna, bo jedna osoba, wykorzystując kontrowersyjne obejście przepisów, może zniweczyć konstytucyjną regulację, a druga - prezydent, w partyjnym zapatrzeniu w sugestie swego guru wspomaga ingerencję władzy wykonawczej w sądowniczą. Reszty dopełnia niedawana precedensowa odmowa uczestniczenia w rozprawie trojga nowo wybranych sprawiedliwymi głosami sędziów TK (bunt, strajk…?). Dylemat ogromny. Ich argumentacja własnego zachowania wpisuje się w potęgowanie paraliżu wymiaru sprawiedliwości. Czyżby owi sędziowie podcinali gałąź, na którą się wdrapali? Trąciłoby to samobójstwem. Jeśli te wyobrażenia uzupełnimy rozbudowanymi kompetencjami szefa resortu sprawiedliwości, to rysuje się zgrzebny model administrowania państwem z ośrodkiem usytuowanym na warszawskiej Nowogrodzkiej, a więc z dala od demokratycznej Wiejskiej.
Orędownicy dobrej zmiany podjęli dzieło odnowy stwarzając pozory, jakoby powyborcza Rzeczpospolita wyłoniła się z popiołów niczym mityczny Feniks. Trudno o większą ułudę. Zdumiewa rozległość naprawczej oferty i brutalność jej urzeczywistniania, co przeczy zarządczemu pragmatyzmowi. Wzruszono w radykalnym trybie wszystkie działy rządowej administracji epatując hasłem: zastaliśmy kraj w ruinie. Remont trwa w najlepsze, ale już obwieszczono, że staliśmy się solidnym państwem. Kryteria tej oceny, to tajemnica ekipy naprawczej.
Powyborczych upojeń ogrom, jak chociażby ten oświatowy, polityką przesiąknięty. Wyzwalaniu intelektualnego potencjału latorośli zafundowano turbulencje. Włączono hamulec przy parciu ku przodowi. Przekreślono niedawno poczęty proces wdrażania gimnazjalnego i sześcioletniego obowiązku szkolnego w imię amatorskich sugestii w stylu troski o przedłużenie tzw. dzieciństwa. Zabrakło naukowych badań i społecznych konsultacji. Historia zaś donosi, że już w 1825 roku w Wielkim Księstwie Poznańskim wprowadzono obowiązek uczęszczania do szkoły

od 6. roku życia. A i dzisiaj mamy 9. letniego pełnoprawnego studenta (Politechnika Lubelska). Niechaj i te przypadki rozjaśnią umysły rządzących. Trafne werdykty w oświacie, to niewyobrażalny zysk dla państwa. Fundamentem roztropności każdej ewolucji w tym segmencie pozostaje solidna podstawa programowa, warunkująca pisanie podręczników oraz przystosowanie kadry nauczającej do nowych wyzwań. Niekiedy towarzyszą temu kosztowne przedsięwzięcia budowlane, również umiejscowione w kopernikańskim upływie czasu. Jak dotąd, tylko nauczanie historii rysuje się wyraziście. Gwarantuje to intelektualny poziom kordialności szefowej resortu edukacji z prezesem Instytutu Pamięci Narodowej (IPN), objawionej spektakularnym certyfikatem o bezgranicznej współpracy obydwóch instytucji. A może minister wzbogaciłaby ten konsonans podobnymi gestami wobec innych przedmiotów, zwłaszcza tych kulejących w pedagogicznych notowaniach, np. matematyki, fizyki…, wchodząc w równie serdeczne układy z naukowymi instytutami od tych profesji. Trudno wszak logicznymi wzorami i mało gadatliwymi formułkami pozyskiwać elektorat. Oby z pola widzenia nie uszła szkolna brać, a przecież takie będą Rzeczpospolite, jakie ich młodzieży chowanie (J.S. Zamoyski, 1542-1605).

Gospodarcze pomysły rządzących tworzą idealistyczną zbitkę populistycznych propozycji, którą ma zwieńczyć Plan na rzecz zrównoważonego rozwoju z piłsudczykowskim przesłaniem: Polska będzie wielka albo nie będzie jej wcale. Ryzykowne to motto bacząc na Marszałka myślowo zabiedzonego w kwestiach ekonomii. Wydaje się, że gospodarcza wizja wicepremiera jest przeciwwagą do programu reform gospodarczo-ustrojowych po 1989 roku, przynajmniej w układzie nazwisk autorów. Był plan Balcerowicza dla III RP, niechaj więc będzie plan Morawieckiego dla IV RP. Koncepcja tego ostatniego, w ostrożnej ocenie, jest polityczną antologią przyjemnych haseł podrasowanych liczbową żonglerką bez wskazania technicznych sposobów budowania krainy szczęśliwości. Innowacyjność wymaga bliskich relacji nauki z wykonawstwem. A tutaj tradycyjna mgławica. Przykładem chociażby grafen, materiał o niewyobrażalnych możliwościach zastosowania, który mimo sukcesów naszych uczonych w opracowywaniu technologii jego wytwarzania, nie może opuścić laboratoriów. Nie znaleziono polskiej firmy, która podjęłaby się produkcji. Elokwentne rozprawianie o innowacyjności, to jedno, ale gospodarcze interesy państwa z tego tytułu, to rzecz najważniejsza. Może od wielkich słów warto powrócić do dawno sprawdzonych wzorców pracy organicznej, przykładowo w odsłonie dr. Hipolita Cegielskiego (1813-1868), którego znak firmowy jeszcze nie wygasł, a nowych niewiele, bo montownie nawet renomowanych firm (np. Mercedesa) pozostają w odległości do idei innowacyjności, pojęcia wprowadzonego do nauk ekonomicznych przez J.A. Schumpetera (1883-1950), którego uczniem był m.in. nasz rodak, Oskar Lange (1904-1965). Wedle Austriaka, to wielkie korporacje stanowią koło zamachowe gospodarki, bo tylko one mogą skutecznie stawić odpór finansowemu ryzyku na drodze od pomysłu do sprzedaży nowego produktu. W naszych warunkach pole do popisu mają m.in. spółki, także te skarbu państwa, tj. parapaństwowe przedsiębiorstwa, pod warunkiem, że zostaną uwolnione od totumfackich zarządów, a władze nie będą do nich tłoczyły atmosfery strachu. Twórczość nie lubi gróźb, ostrzeżeń i innych administracyjnych zabiegów, zwłaszcza tych w wydaniu służb specjalnych.

Resort od obrony narodowej zadziwia aktywnością swego szefa, który w sprinterskim tempie uczynił z armii, która jeszcze przed chwilą była w jego błyskotliwych ocenach bezbarwną masą niezdolną do obrony, skuteczną formację o ogromnym wojennym potencjale. Wystarczyło pozbyć się co bardziej doświadczonych dowódców, zmienić nazwę wojennej akademii, rozpocząć organizowanie terytorialnej partyzantki z tzw. grupami rekonstrukcyjnymi w tle i

niezliczonych kombatanckich uroczystości, gdzie kapelani i kompanie honorowe prym wiodą. Niewiele zaś dowiadujemy się o zagospodarowywaniu budżetowego odpisu na obronność. Tutaj już nie wystarcza przerabianie kolejnego rozdziału regulaminu musztry i tworzenie prowokacyjnej politykierskiej zawiesiny o posmaku smoleńskiego wypadku lotniczego. Decyzji o wydatkach na zbrojenia, jak na lekarstwo, a jeśli już, to towarzyszą im sensacje, łącznie z dyplomatycznymi nietaktami (np. śmigłowce Caracal, nadanie rządowej rangi plotce o losach okrętów Mistral etc.). Niezwykle trudno będzie przysłonić defekty ministra nawet uhonorowaniem go nagrodą im. Kazimierza Odnowiciela: Patriota Roku 2016. Wiele wskazuje na to, że w tych uwikłaniach zwyczajowo przyjdzie zawierzyć obronę Rzeczpospolitej Najwyższemu.

W innych resortach też dominuje weryfikacja kadr wedle partyjnych nośników, a wszystko pod hasłem podnoszenia się z kolan. Efekty skromne, bo zbyt często wstający uderzają głową w powałę, strzępiąc wizerunek państwa. Krytyka UE, destrukcyjne pomysły Grupy Wyszehradzkiej, schładzanie relacji z członkami Trójkąta Weimarskiego, niepodporządkowywanie się traktatowym sugestiom Komisji Europejskiej, ale także sformalizowanym podpowiedziom Europejskiej Komisji na rzecz Demokracji przez Prawo (tzw. Komisja Wenecka), ironizowanie opinii w sprawie TK Komitetu Praw Człowieka przy ONZ, to najnowszy zestaw znaczący naszą drogę ku mocarstwowości, tej od morza do morza, tym razem już Adriatyckiego. Warto pamiętać i o tym, że dzisiejsze fizyczne granice zostały nam zafundowane przez Wielkich w teherańsko - jałtańsko - poczdamskim rozdaniu. Nakazuje to powściągliwość, a nie strojenie się w imperialno - militarny pióropusz o nieroztropnej werbalnej mocy. Zbieramy już tego żniwo. Praktyczne wzmacnianie granic w naszym geograficznym położeniu, to przede wszystkim dyplomacja, a tam zagubienie i polityczna personalna filtracja. Ktoś kiedyś zauważył, że dla naszego bezpieczeństwa starczałaby etatowo skromna, ale fachowością tryskająca krajowa centrala od zagranicznych spraw oraz dwie solidnie funkcjonujące ambasady: w Berlinie i Moskwie, bo o te stolice Polska najczęściej się potykała, a Rosjan i Niemców wielokroć gościła.

Funeralne zapędy rządzących tchną diabolicznymi pomysłami z IPN-owską nawigacją. Ważenie historycznych zdarzeń, to spora umiejętność, bo biel i czerń różnymi odcieniami się mienią. Zaszłości nie da się przytłoczyć wyrafinowanymi decyzjami o partyjnym posmaku. Obsesja rządzących w pastwieniu się nad miejscami pamięci tych, którzy polegli uwalniając nas od całkowitej zagłady, graniczy z obłędem o międzynarodowym wymiarze. Armia Czerwona, to nie tylko Rosjanie, ale Litwini, Ukraińcy, Białorusini, Azjaci etc. Nietaktowne zachowania polskiej strony godzi w ich bliskich. Dla powojennych władz nadal problemem pozostaje symbolika racjonalnego zespolenia patriotyzmu tych spod Lenino z tymi z Monte Cassino. Wszędzie tam byli i ginęli rodacy rozdzieleni wrześniową klęską. Uskrzydlała ich myśl o odzyskaniu państwowości. Wojenne ich czyny zostały zakleszczone politycznością, miast stać się wspólnym mianownikiem narodowej zgody. Narasta rozdarcie sytuowane w pytaniu rodaków: czy jeszcze należymy do zwycięskiej koalicji? Zdaniem prof. B. Łagowskiego wypisaliśmy się już z niej, co delegitymizuje nasze granice - choć nie jest to fakt, którym przejąłby się solidarnościowy umysł. Uwłacza to również spadkobiercom Wielkiej Trójki, którzy w różnych międzynarodowych konfiguracjach kontynuują testament swoich politycznych przodków i nie zawsze akceptują naszą wybiórczą pamięć. Trudno też im pojąć zamazywanie PRL-u, dzieła ich antenatów. A to i oni też niedawno podjęli decyzję o kasacji powojennych strefowych uzależnień. Mniej tutaj zasług solidarnościowej legendy, której rewolucyjny szlak, to pełna emocji walka z własnym państwem pod hasłem obrony robotników. Teraz obfituje to

ewangelicznym rozmnażaniem kombatantów i kłótniami wśród nich. Animatorzy tamtych zdarzeń potrzebnych dla wyznaczenia marszruty ku przyszłości nie gardząc wówczas zachodnim finansowym wsadem, dzisiaj zarządzając państwem, stronią od prekariatu, który po części jest ich wytworem, ale i trampoliną do karier. Okazują bezradność wobec wcześniej głoszonych ideałów. Sprawowanie władzy, to inna profesja, krańcowo różniąca się od destruktora. Niezmienne jedynie pozostają interesy poddanych. W tych to zawiłościach sytuuje się zarzewie buntu. Takie to już perpetuum mobile społecznej machiny.
Dobra zmiana, to osobliwa licytacja zwycięzców z przegraną Platformą Obywatelską (PO). Spór tak jałowy, jak i nudny i coraz bardziej denerwujący. Są to ugrupowania o tych samych korzeniach nadal poruszające się w dawniej wyżłobionych koleinach. Dobrze, że refleksje wyzwalają obywatelskie wiecowo - marszowe poruszenia, bo sejmowa opozycja w matematycznym wymiarze, dodatkowo obłożona wzajemnymi animozjami jest zaledwie granicznym lakmusowym weryfikatorem realizowania własnej wizji państwa. Algebraiczny formalizm głosowań unicestwia sporo rzeczowych sugestii, najczęściej topionych w emocjonalnym rewanżyzmie zaklętym w sloganie: a wy też tak postępowaliście. Banalne to usprawiedliwienie wzniecające emocje, bo ideowy dogmat zarządzania Rzeczpospolitą obydwóch ugrupowań pozostaje niezmienny. Różnice tkwią jedynie w biograficznych niuansach ich przywódców. Co interesujące, to im więcej rozlanej żółci w życiorysowych licytacjach, tym, o paradoksie, lepsze wskaźniki społecznej pobłażliwości. Wymowny to pojedynek, ale w stylu wszechpolskiego werbalizmu, a to już nie precedens. Natomiast opozycja, także lewicowa nie powinna sprowadzać swojej wizji Rzeczpospolitej do krytycznych emocjonalnych uszczypliwości wobec programowych zachowań rządzących. Techniczna prezentacja własnej wizji jest nadrzędnością wobec ulotnych słów. Słowo przeciwko słowu jest ważne, ale myślnik nie zawsze rozdziela intelektualny dobrostan od rzeczywistości.

Czas przyszły

Restaurowanie Rzeczpospolitej wedle wzorca dobrej zmiany będzie kontynuowane. Alternatywa godziłaby w ambicjonalne rozpasanie zwycięzców, a to bliskie samozatraceniu. Reakcje doświadczanego ludu spotęgują już dostrzeganą wymuszoną konfuzję rządzących. Schromieją budżetowe rozdawnicze efekty, zderzając się z gospodarczym realizmem. Dotychczasowe decyzje wprawdzie wyzwalają rodzicielską radość (np. 500+, a w perspektywie preferencyjne mieszkania itp.), ale nie tworzą wartości dodanej. Społeczny odbiór byłby inny, gdyby źródło tych wypłat tkwiło w złotówkach wypracowanych przez ekipę dobrej zmiany. A tak zwycięzcy popadają w finansowy uścisk politycznych rywali, dopełniając wekslami kasę państwa.
W polityce zagranicznej nadal będziemy stroszyć pióra miast wydeptywać koncyliacyjne ścieżki. Nasz główny dyplomata porusza się na tym wybiegu, jak zagubiony odyniec, który zatracił drogę do stada. W ugorze zalegną relacje z granicznymi sąsiadami bez widoku na ich użyźnienie. Wstrzymanie zaś przygranicznego ruchu z obwodem kaliningradzkim chyba nie oznacza odtrąbienia zwycięstwa nad Rosją? Rusofobia będzie pogłębiana, a to defekt w oglądzie dobrosąsiedzkich relacji w wydaniu rządzących. Iluzoryczne wojenne zagrożenie nadal będzie eksponowane, ale bodaj wyłącznie w umysłach rządzących, bo równia prywatnych przygranicznych kontaktów jest zgoła inna, wyzwolona od partyjnych manier z obfitością pragmatycznej kooperacji.
Zarzewiem konfliktów nadal będzie polityka historyczna zasilana administracyjnymi decyzjami o

tym komu stawiać pomniki, a które burzyć. Aktualne pozostanie pytanie: quo vadis Polonia o współczesnej konotacji: o co walczymy i dokąd zmierzamy? Historia i przyszłość mają wiele punktów stycznych o sporym ładunku wrażliwości. Ale jeśli obrano kurs władania państwem w rzymskim stylu: dziel i rządź, to przynajmniej szanujmy tych, którzy podarowali nam granice, a dzisiaj ich kontynuatorzy zamartwiają się odmianą naszej demokracji wyrosłej w solidarnościowym zgiełku. Sklepowe półki z octem, komuna, zniewolenie, sowiecka okupacja, polskojęzyczne wojsko etc., pozostaną dla rządzącego establishmentu pejoratywnymi hasłami, gruntującymi ordynarną wiedzę o niedawnej przeszłości, a to już w analogiach marsz bez asekuracji niebezpieczną Orlą Percią. Zatrważa pastwienie się nad wspólnym nieodległym Peerelowskim rozdziałem naszej historii. Jeśli w taki sposób będziemy traktować dzieje RP, to nie powinniśmy się dziwić, że ucierpią na tym społeczne więzi, ale i międzynarodowe relacje. Nic gorszego nie może się politykom przydarzyć jak hamletyzm podbudowany narcyzmem wpisywanym do własnych życiorysów. Fałszywa to karta. Stosowana dzisiaj optyka przystająca do wygodnego, przykominkowego analizowania dziejów RP zbliża nas ku samozatraceniu, a nie mocarstwowości.
Czas najwyższy, aby wreszcie stanąć w przekorze do heglowskiej refleksji, że historia uczy, a ludzkość się niczego nie nauczyła. Jutro, to rezultat wniosków płynących z historii i czynów dnia dzisiejszego. Rzecz w tym, aby realizm ocen unicestwił królującą zawiść i ułańską fantazję polityków, bo to nie najlepszy budulec mocarstwowości.

Janina Łagoda